

Debata o debacie

14 marca 2015

David Cameron próbuje uciec przed telewizyjną debatą z partyjnymi liderami. Czy chce przełamać obowiązujący dotychczas schemat medialnych pseudodyskusji, czy boi się konfrontacji?

Niechęć brytyjskiego premiera do telewizyjnej debaty jest czymś nowym. Jeszcze w 2010 r. mówił, że „debaty są czymś wspaniałym (...) dzięki nim możemy przywrócić wiarę w sens polityki oraz nadszarpnięte zaufanie wyborców. Debaty telewizyjne są nieodłącznym elementem XXI wieku. Obecne są nawet w Mongolii, na litość boską”. To było jednak, zanim torysi wygrali wybory, a Cameron został premierem. W innych – w politycznym kalendarzu – odległych, zamierzonych czasach. I w innej rzeczywistości. Wówczas pierwsza w historii debata telewizyjna między partyjnymi liderami w Wielkiej Brytanii była atrakcyjna dla wszystkich. Pomimo braku tradycji i powściągliwości niektórych komentatorów. Bo każdemu dawała szansę. Ówczesny premier Gordon Brown, który pikował w sondażach, miał nadzieję, że swoim telewizyjnym wystąpieniem odbije się od dna. David Cameron liczył na to, że dzięki debacie dobieje laburzystowskiego polityka. A lider LibDem Nick Clegg wierzył, że TV będzie dla niego trampoliną z politycznej niszy do pierwszej ligi. I to on ostatecznie triumfował. Telewizyjne debaty wykreowały prawdziwą cleggomanię. Lider liberałów stał się z dnia na dzień polityczną gwiazdą, która świeciła mocno na tle zmęczonego Browna i zmanierowanego Camerona. Cleggomania skończyła się kilkunastoprocentowym wynikiem wyborczym i zaproszeniem do gabinetu. Stało się to, co w brytyjskiej polityce prawie nigdy się nie zdarza – koalicja rządowa, a Clegg otrzymał tekę wicepremiera. Oprócz tego telewizyjna debata okazała się prawdziwym show, które obejrzało ponad 20 mln Brytyjczyków. Wydawało się wówczas, że obecny już niemal na całym globie „politainment”, czyli

polityczna rozrywka, na dobre zagości w Wielkiej Brytanii, a debaty telewizyjne staną się nieodłącznym elementem kampanii wyborczej. Dziś okazuje się, że niekoniecznie.

NIE CHCE MI SIĘ Z WAMI GADAĆ

Opozycja jest wściekła. Farage i Miliband prześcigają się w komentarzach na temat obaw premiera. Dołączył do nich ostatnio także Nick Clegg, który zarzuca Cameronowi „wyniosłe zadęcie” i porównuje go do bohaterów telewizyjnego serialu o arystokratkach „Downton Abbey”. W domyśle – premier popija sobie spokojnie drinka w salonie i nie ma zamiaru dyskutować z pospółstwem jak równy z równym. Może co najwyżej po wielkopańsku powiedzieć innym, co i jak mają robić. Jak na jaśnie pana przystało. Niezadowolone są także brytyjskie media. Cameron bowiem w sprawie debat kluczy od momentu, kiedy kwestia ich organizacji stanęła na agendzie. Jeszcze w styczniu premier zapowiadał, że weźmie udział w telewizyjnej konfrontacji, jeśli do studia zaproszeni zostaną brytyjscy Zieloni. Dziś listę obecności wydłuża. Bo to nie w porządku – przekonuje – że udziału w debacie nie wezmą liderzy szkockich i walijskich narodowców. Ani Unioniści z Ulsteru. Wreszcie kiedy stacje telewizyjne przystały na wszystkie zastrzeżenia Camerona, 10 Downing Street zakomunikowała, że debaty powinny się odbyć „na długo przed wyborami”. Czyli w praktyce przed ogłoszeniem partyjnych manifestów – zbitki kwintesencji programowych, które zazwyczaj wyznaczają polityczny kompas partyjny i są centralnym punktem sporów, debat, analiz i krytyki. Staje się jasne, że dla urzędującego premiera telewizyjne debaty to kłopot, którego za wszelką cenę chce uniknąć. Nie bardzo tylko wiadomo dlaczego. W końcu lider laburzystów Ed Miliband i najpoważniejszy konkurent do władzy w telewizji wypada fatalnie. Na tym zresztą zbudowana jest cała kampania torysów, która przekonuje opinię publiczną, że Miliband na stanowisko premiera się nie nadaje. Debata byłaby więc idealną dla Camerona okazją do politycznego nokautu przeciwnika. Premier nie powinien się też obawiać Clegga. Nie

tylko dlatego, że szanse na ponowne oczarowanie telewizyjnej publiczności przez lidera liberałów są znikome, ale głównie dlatego, że wicepremier współodpowiada za politykę społeczną oraz gospodarczą Wielkiej Brytanii w ostatniej pięciolatce i ma bardzo wąskie pole manewru w krytyce swojego koalicjanta. Dla Camerona zagrożenia nie stanowi także Natalie Bennett, przewodnicząca Partii Zielonych, która po pierwsze raczej odbiera głosy Labour, a po drugie jest medialnie niedoświadczona, co udowodniła wywiadem w radiu LBC. Podczas rozmowy z dziennikarzem na temat budowy mieszkań komunalnych Bennet zapomniała podstawowych danych i statystyk, a potem przestała się po prostu odzywać. Jedynym rywalem, którego Cameron może się bać, jest Nigel Farage. Oratorskie popisy, cięte riposty, ostre bon moty lidera UKIP robią na wyborcach i mediach wrażenie, nawet jeśli zdania wypowiedane przez Farage'a nie mają większego sensu i pozbawione są logiki. Ale tę polityczną minę akurat łatwo można by obejść. Wystarczyłoby, żeby otoczenie premiera ogłosiło, że Cameron będzie debatować jedynie z Millibandem. Zmęczone oporem 10 Downing Street telewizje zgodziłyby się od razu.

ROZMOWY W TOKU

Dla politycznych komentatorów niechęć Davida Camerona do telewizyjnych debat to osobny problem. Bo z jednej strony to interesujące wydarzenie medialne i prawdziwy show, ale z drugiej zagrożenie dalszej tabloizacji polityki. Nie ma wątpliwości, że telewizja w większym lub mniejszym stopniu psuje demokrację, bo od debat parlamentarnych ważniejsze są ustawiane telewizyjne widowiska. Ustawki, inscenizacje, które z prawdziwą polityką nie mają wiele wspólnego. W końcu media elektroniczne żyją z konfliktu, emocji, krzyku. Polityka natomiast z kompromisu, w którym każdy z partnerów coś zyskuje, a czasem coś traci. Media są krzykliwe. Polityka to w głównej mierze rozmowy, zawiłe analizy i pisanie ustaw. Nuda. Dlatego też TV teatralizuje politykę, spłascza ją i zmienia w rozrywkę – politainment. Tak aby była bardziej strawna dla

masowego odbiorcy. I to ma też swoje dobre strony. Mediokracja angażuje, na swój sposób upolitycznia widownię poprzez wyostrowanie stanowisk, polaryzację i budowanie drastycznych antagonizmów. Ale często inscenizując frontalny atak na „nierobów” z klasy politycznej, zachęca zarazem do antypolityki. Demokracja telewizyjna doskonale posługuje się obrazem, ma jednak problem ze słowem. Zwraca się do widowni masowej i chce się jej przypodobać. Trzyma się zasady, że widz ma kłopoty z koncentracją, nie jest zbyt wykształcony i szuka raczej potwierdzenia swych uprzedzeń, lęków i sympatii niż ich rewizji. Żeby nie uciekł na inny kanał, musi więc dostać towar lekkostrawny. Stąd trywialny język, sugestywnie podane banały i stereotypy. Raczej sygnały stanowiska, a nie wywody. Hasłowość oparta na prostych sylogizmach, przesłaniających złożoność problemu i przemilczających słabe punkty oraz koszty proponowanego rozwiązania. Ten emocjonalny i polaryzujący język być może byłby dobrym, popularnym dodatkiem medialnym do solidnej kultury politycznej, gdyby sprowadzenie politycznego dyskursu do talk-show nie psuło kultury parlamentarnej. Jednak pogodzenie skomplikowanej logiki procesów politycznych z prostą logiką selekcji medialnej to zadanie niewykonalne. Wydarzenia polityczne to węzły gordyjskie grupowych interesów, politycznych aktorów, partyjnych programów, zmiennego poparcia społecznego, konfliktów i kompromisów, skomplikowanych procedur instytucjonalnych, uwarunkowań prawnych i zależności technicznych. Natomiast wydarzenia medialne kierują się prostą logiką: przykuć uwagę, spersonalizować konflikt, zaskoczyć, zszokować. Gdyby David Cameron używał tych argumentów przeciwko swojemu udziałowi w telewizyjnych debatach, zdobyłby poklask. Przynajmniej u analityków, poważnych publicystów, koneserów polityki. Wyszedłby jednak wówczas na jeszcze większego nadętego bufona, który nie chce rozmawiać z głupimi telewidzami. Bo chociaż w teorii brytyjski system polityczny opiera się na prymacie parlamentu i partii nad gabinetem, to jednak w praktyce wybory stanowią w jakimś sensie plebiscyt na najważniejsze stanowisko w państwie. Dlatego też unikając udziału w telewizyjnych debatach, premier popełnia polityczny

błąd, chociaż postępuje słusznie z punktu widzenia standardów demokratycznych. Paradoks, jakich w polityce wiele.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)